Kraków, 26 go Października 1907 r.

Rok 3. Nr. 22

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do Nr. 43 „Prawdy.“

Wdzięczność i Sprawiedliwość.

(Dokończenie).

Przyszedł koń i powiada:

— Ja znam wybornie wdzięczność i sprawiedliwość, gdyż wożę i noszę swojego pana i zarabiam się w p[illegible]cu dla niego.

— No i cóż? — pyta Maciek uradowany.

— Za to mnie pan głodem morzy i biciem [illegible] go płaci.

— O, mocny Boże! — wykrzyknął Maciek strapiony — czy już z Twojego ślicznego świata zginęła wdzięczność i sprawiedliwość?

A jaskółeczka świegoce:

— Ludzie nauczyli swojskie zwierzęta niewdzięczności, niesprawiedliwości... Twój sędzia Maćku, ani zbyt wielki, ani zbyt mały, ale dziki być musi!

— Pewnie mądralę-lisa trzeba mi przyzwać — rzekł sobie i sprowadził lisa.

Kita ogonem na prawo, na lewo macha, oczyma strzyże, sprawy wysłuchuje a nareszcie powiada:

— Ogromnie mi dziwno, żeś ty, niedźwiedziu, do tego czasu jeszcze nie schrupał głupiego Maćka... Sumienie musi cię gryźć ogromnie, gdyż najgorsza to rzecz mieć dług wdzięczności, a nie płacić go niewdzięcznością. Zjedz chłopa bez ceregieli, a nie, to powiem, żeś i ty głupi?

Dopiero niedźwiedź aż się pokłada, tarza od śmiechu i powiada:

— Lis dobrze rai, bo ty Maćku, schudniesz mi przez to szukanie sprawiedliwości, a ja nie lubię jeść chudego.

Chłopa mrowie przeszło, kiedy widział, że się niedźwiedzisko oblizuje, i poszedł zaprosić wilka na sędziego, chociaż już i w niego nie bardzo wierzył.

Wilk łbem coś kręcił, na brzuch niedźwiedzia spoglądał, a Maćkowi się wydawało: „On widać o sprawiedliwo ści rozmyśla!“

Tymczasem wilk przemówił te słowa:

— Tobie, niedźwiedziu, głód pewnie nie dokucza, skoro pozwalasz takiemu chłopu ciągać się na sądy! Chcesz, ja go oprawię, a zjemy go na spółkę?

Ale niedźwiedź zgrzytnął, mruknął:

— Nie chcę z wilkami spółek!

Do Maćka się zaś zwrócił i powiada:

— Tak czy owak, na moje wychodzi i zjeść cię muszę, żeby dług wdzięczności raz spłacić.

Chłop sobie wyprosił, że jeszcze jednego sędziego sprowadzi.

Idzie, odmawia pacierze, Bogu się poleca, a jaskółeczka przed nim usiadła i zaświegotała:

— Maćku, Maćku! Sprawiedliwość zna taki tylko, któremu niesprawiedliwość dniem i nocą doskwiera, który nikomu najmniejszej krzywdy nie czyni, a kryć się musi, żeby wyżył.

— Gdzież ja nieszczęśliwy takiego znajdę?

— Pod krzem, niedaleczko stąd przycupnął, kryje się przed człowiekiem, psem, wilkiem, lisem. Ostrożnie podchodź do niego, aby nie pomyślał, że go chcesz zabić, i nie uciekł.

— Jakże z nim mówić?

— Idź, a powtarzaj te słowa: Pana Boga chwalę, nikomu źle nie czynię, mam w sercu wdzięczność i sprawiedliwość.

Zabrał się Maciek, idzie, powtarza to co mu jaskółeczka kazała. Nagle z pod krza zajączek wypada kic, kic i mówi:

— Słyszałem ja o twojej przygodzie z niedźwiedziem i myślałem o tem właśnie, jakby ci tu pomódz.

— Oj, zajączku, żeby cię też Bóg dobrą myślą natchnął! Niedźwiedź mi oto dowodzi, że na świecie niema ani wdzięczności, ani sprawiedliwości.

— Wdzięczności niema, bo ona musi od stworzeń wychodzić, a te są niewdzięczne; ale sprawiedliwość pochodzi od samego Boga i ona nigdy nikogo nie minie.

Zaczęło się sądzenie, niedźwiedź mówi że tak a tak: „Zjeść go powinienem, jeno chcę się najprzód przekonać, jako na świecie niema wdzięczności ani sprawiedliwości“.

Maciek też wykłada swoje.

— Dobrze to jest, co wy mówicie — powiada zajączek — tylko ja koniecznie muszę widzieć, jak wszystko było, zanim ta wasza sprawa powstała.

— Leżałem pod kłodą — rzecze niedźwiedź — a ten głupi chłop kłodę dźwignął i mnie wyswobodził, niechże ma za to nagrodę!

— Ja muszę widzieć, jakeś ty wyglądał! — powtarza zajączek.

— Bo możeś ty jest za wdzięcznością? — pyta niedźwiedź.

— Nie znam wdzięczności na świecie, znam tylko grzeszne istoty.

— Widzę, że z ciebie sędzia całą gębą.

Poszli, znaleźli to miejsce, gdzie kłoda przywaliła była niedźwiedzia: drągi i soszki podpierały jeszcze kłodę.

— Właź że, Misiu, pokaż mi, jak leżałeś!

Niedźwiedź wlazł i kiedy się już położył, zając mrugnął na chłopa:

— Powyjmuj prędko drągi i soszki!

Chłop tak zrobił, a niedźwiedź zaraz jęknął, stęknął, prosił:

— Ulżyjcie, bo mnie ta kłoda zagniecie!

Zajączek mu zaś odpowie:

— Teraz jest tak, jak z początku było: żaden z was tu drugiemu nic nie winien. Niema na świecie wdzięczności, a sprawiedliwość na ciebie oto spadła!

Potem się zwrócił do Maćka i rzecze:

— Umykaj żwawo do domu! Chwal Boga, nie czyń źle nikomu, a wdzięczność i sprawiedliwość miej w sercu, choćbyś tylko taki sam jeden był na świecie!

JESIEN.

Odleciały żórawie
Daleko,
Gdzie ten siny bór szumi
Za rzeką,
Gdzie to słonko spać idzie
Za mgłami,
Odleciały wielkiemi
Kluczami.
A za niemi jaskółki,
Bociany...
Hej! sieroce już pola
I łany.
Idzie jesień i złotem
Hen... prószy;
Ozłociła już liście
Na gruszy,
Ozłociła już witki
Wierzbowe.
I badyle po miedzach
Te płowe.

Hej! nie gwarzą już bory
Radośnie,
Jako pierwej, w słonku jasnem,
O wiośnie.
Hej już pieśnią ptaszęcą
Nie dzwonią,
Ni srebrzystych rosz igieł
Nie ronią,
Jeno szumią żałośnie
Nocami.
Idzie jesień, hej, idzie

Z wichrami,
Idzie strząsać z nas igieł
Tysiące,
Idzie mgłami przesłonić
Nam słońce.

U stóp boru toczy rzeka
Swe wody:
Już nie długo twej — wodo —
Swobody,
Przyjdzie zima, w lód skuje
Ci fale,
Nim odejdziesz do morza,
Hen... w dale.
Idzie jesień z daleka.
Z daleka...
Ni ten bór ją zatrzyma,
Ni rzeka,
Ni ta piosnka dziecięca
Załosna:
„Czemu od nas odeszła
Już wiosna!“

MGŁA.

— Ojcze! mówił mały Kostuś w dzień mglisty marcowy, patrząc z dziwieniem w górę, jakież to dziwne zjawisko na Niebie! nie Księżyc, bo on daleko większy! cóż to jest?

— Nie poznajesz, — odpowiedział Ojciec, — przecież to Słońce.

— Ale uie! — zawołał chłopczyk, — Słońce tak małe, tak blade bez żadnych promieni!

— Czyż nie widzisz, — rzekł dalej Ojciec — tej grubej mgły, która z ziemi wychodząc, pomimo południowej pory, ciemność nocy wrócićby rada? Ona to nam źródło światła zasłania, i tak je przeistacza.... O! bogdajby mój Synu, ani w życiu, ani w sercu twojem mgła tej podobna nigdy nie powstała! bogdałby ani błędy ludzkie ani występek, nie zasłoniły przed tobą prawdziwego światła.

Odjazd ptaszków do ciepłych kraln.



Gdyby ptaszki miały takie same potrzeby i przyzwyczajenie, co ludzie, to w obecnym czasie dworce kolejowe wyglądałyby tak, jak na niniejszym obrazku. Na szczęście ptaszki nie potrzebują zabierać w drogę ani ciepłej odzieży, ani paczek z żywnością; nie jeżdżą też kolejami, bo na swych małych skrzydełkach prędzej lecą, niż pociąg kolejowy, choćby nawet pospieszny.

Pierwsza ofiara prochu.

— Ojcze Bartoldzie, ksiądz przeor woła was do siebie — mówił braciszek Piotr z klasztoru Franciszkanów, wchodząc do celi zakonnika.

— Idę — odpowiedział — tylko spalę ten papier i umyję ręce, bo posmoliłem je węglem, sypiąc razem z siarką i saletrą do moździerza. A ty tu poco — zawołał odpędzając kraciastą chustką kota, zaglądającego w naczynie — gotów przewracać wszystko — i to mówiąc stary zakonnik przykrył moździerz kamieniem a podarty papier rzucił do kominka, na którym silny płonął ogień.

— Pilnuj roboty — powiedział potem do kota i wyszedł na korytarz klasztorny.

Ale nie doszedł jeszcze do mieszkania przeora, gdy gwałtowny hałas dał się słyszeć w jego własnej celi, drzwi od niej zatrzęsły się w zawiasach, a okienkiem buchnął cuchnący dym.

— W Imię Ojca i Syna! — zawołał przerażony braciszek — to ten kot szkaradny, jemu zawsze źle z oczów patrzyło, czułem ja, że to nic dobrego, tylko wy ojcze Bartoldzie wierzyć takim rzeczom nie chcecie.

I mruczał Piotr, ale jakie było jego zdziwienie, gdy wszedłszy do celi, zastał biednego kota rozciągniętego i bez życia, obok niego leżał kamień. W celi panował okropny nieład, moździerz potoczył się aż pod ścianę, z półek pospadały książki, a olej z wywróconej lampki ciekł po podłodze.

Bartold podniósł kota.

— Widzisz, biedak niewinny, żal mi go bardzo, ale jakim sposobem stać się to mogło i gdzie podział się węgiel, saletra i siarka?

Mówił to oglądając moździerz, na spodzie którego nie było nic, prócz kawałka niedopalonego papieru.

Cela napełniła się tymczasem zakonnikami, pytali z przerażeniem, co mogło być przyczyną huku i dymu.

Bartold opowiedział swoim braciom, że przygotowywał właśnie mieszaninę z siarki, węgla i saletry, kiedy stał się wypadek, którego sam nie zrozumiał.

— Papier spalony mógł się dostać do moździerza z komina, bo kamień nie przykrywał dobrze otworu, ale jakim sposobem zniknęła moja massa, i kto odwalił kamień co z takim hukiem zabił kota?

Nagle błysnęła mu myśl.

Zawinął trochę pozostałej na stole masy w papier i wrzucił ją w ogień

— A to co znowu — zawołał braciszek Piotr, bo w kominie huknęło i dym rozszedł się na nowo.

— Zburzymy klasztorny mur — zawołał teraz z radością Bartold Szwarc, — moja massa robi to bez pomocy kilofa i motyki.

I tak się też stało, na dziedzińcu wznosiła się stara baszta, siedlisko szczurów, dawno chciano ją rozwalić ale praca była ciężka, odkładano więc wykonanie jej na później.

Usmolony od węgla brat Bartold, rozkruszył z łatwością kamienną budowę, podłożywszy pod nią pudełko swej massy, które posypał węglami.

Całe zgromadzenie przypatrywało się doświadczeniu, przesądny braciszek napróżno spluwaniem odpędzał dyabła, proch był wynaleziony.

Bo proch to, kochani czytelnicy, odkrył w ten sposób we Fryburgu Bartold Szwarc, zakonnik franciszkanin, żyjący w czternastym wieku.

Pierwszą ofiarą nowego wynalazku był kot, ale od tego czasu iluż nieszczęść stał się ten wynalazek sprawcą! Niezapominajmy jednak, że proch także przebija drogi przez nieskruszone ludzką ręką skały, że broni słabego od przemocy napastnika, i że dopomaga człowiekowi do wytępienia dzikich, drapieżnych zwierząt.

Raz dowcipna Juleczka była zapytana,
O której porze koszą zwykle siano?
A widząc że z figlarzem braciszkiem ma sprawę,
Nigdy nie koszą siana, rzekła, tylko trawę.